

ALPHISTORIA

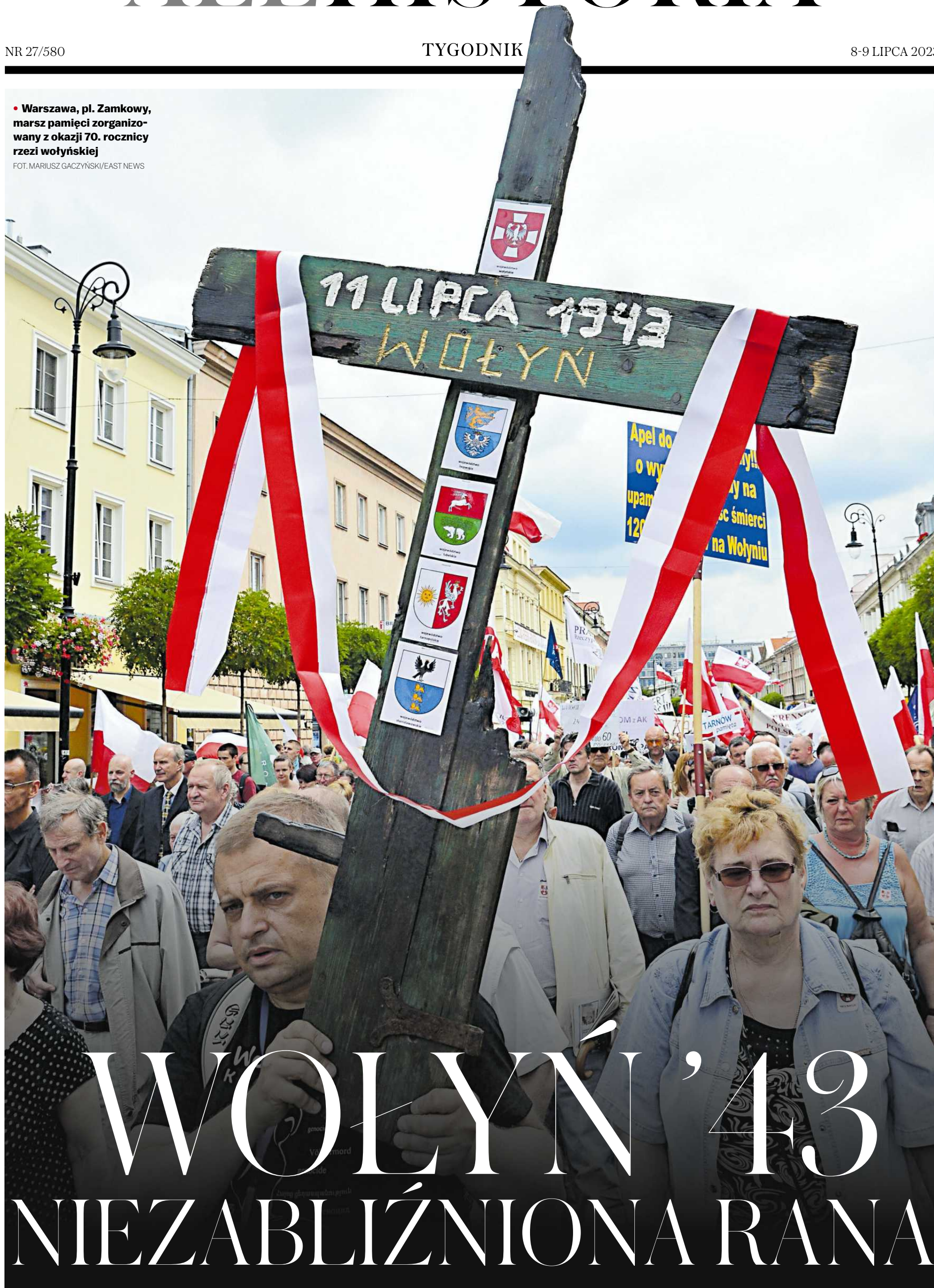
NR 27/580

TYGODNIK

8-9 LIPCA 2023

• Warszawa, pl. Zamkowy,
marsz pamięci zorganizowany z okazji 70. rocznicy
rzezi wołyńskiej

FOT. MARIUSZ GACZYŃSKI/EAST NEWS



WOŁYŃ '43 NIEZABLIŻNIONA RANA

Historia krzepi

Jaruzelskiego pakt z diabłem

Większość stron politycznego życiorysu generał zapisał na czarno. Ale były też jasne – jak rok 1989, gdy przyczynił się do przywrócenia Polsce wolności. Dziś, kiedy zmagamy się z nawrotem autorytaryzmu, warto o tym pamiętać.

Natęcz

Tomasz Natęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego



Pelen wojen i przewrotów, burzliwy XX w. przemielił bezlitośnie losy Polaków. Nie oszczędził także urodzonego przed 100 laty Wojciecha Jaruzelskiego. Kiedy 6 lipca 1923 r. przyszedł on na świat, nikomu się nie śniło, że zostanie komunistycznym dyktatorem.

Urodził się w rodzinie ziemiańskiej, w której kolejne pokolenia krwią pieczętowały swój patriotyzm i wrogość do Rosji. Imię otrzymał po dziadku, który udział w powstaniu styczniowym opłacił ośmioletnim zesłaniem na Syberię. Ojciec walczył jako ochotnik w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r. W tej rodzinie antyrosyjskość wysysało się z mlekiem matki, a komunistyczny bolszewizm uważano za uosobienie zła. Jaruzelscy byli też głęboko religijni i od 1933 do 1939 r. kształcili syna w warszawskim gimnazjum zakonu marianów, oddalonym o sto kilkadziesiąt kilometrów od ich majątku. Młody Wojciech wyróżniał się zamilowaniem do nauki, religijnością i patriotycznym uniesieniem. W szkolnej gazecie za wzór stał lwowski harcerz poległych w 1920 r. „w obronie kraju przed czerwonym najeźdźcą”.

Historia jego także skonfrontowała z czerwonym najazdem. We wrześniu 1939 r., po napaści ZSRR na Polskę, Jaruzelscy, aby nie wpaść w łapy bolszewików, schronili się na Litwie. Po opanowaniu przez ZSRR i tego państwa całą rodzinę, w czerwcu 1941 r., deportowano na Syberię. Ojciec trafił do la-

gru, a Wojciech utrzymywał matkę i siostrę, ciężko pracując przy wyrębie lasu w Górach Altajskich.

Zesłanie nie zahartowało go jak dziada-imiennika. Nie znienawidził komunistycznego imperium, winnego m.in. śmierci ojca, który zmarł w czerwcu 1942 r. W lipcu 1943 r., zmobilizowany przez sowiecką komendę uzupełnień, przed którą ukrył ziemiańskie pochodzenie, trafił do szkoły oficerskiej w Riazaniu, kształcącej kadry dla polskich sił zbrojnych tworzonych przez Stalina. Choć miał naturę prymusa, do nauki się nie przykładał, traktując służbę w wojsku, jak wielu innych zesłańców, jako sposób na zapewnienie rodzinie powrotu do kraju.

Nie wytrwał jednak w tej postawie i mimo że całe wcześniejsze życie impregnowało go na komunistyczną pokusę, po powrocie do kraju zawarł pakt z komunistycznym diabłem. W 1947 r. był już członkiem Polskiej Partii Robotniczej i współpracownikiem zsowietyzowanego kontrwywiadu wojskowego. Oddanie komunizmowi i nieprzeciętne zdolności zapewniły mu błyskotliwą karierę. W styczniu 1949 r., jako 25-latek, był już podpułkownikiem. W 1956 r. został najmłodszym, bo 33-letnim, generałem. Szybkie awanse przypadały na lata stalinowskiego terroru, szalejącego także w Wojsku Polskim. Jemu jednak ufano bezgranicznie i nie szkodziło mu dyskwalifikujące innych ziemiańskie pochodzenie.

Październikowy zwrot i rządy Władysława Gomułki jeszcze bardziej uskrzydliły karierę Jaruzelskiego.

W 1960 r. został szefem Głównego Zarządu Politycznego WP, odpowiedzialnego za partyjną, komunistyczną pracę w wojsku. Dobrze sprawdził się na tym stanowisku, o czym świadczyło mianowanie go w 1962 r. wiceministrem obrony narodowej. Piął się coraz wyżej również dlatego, że nie przebiegał w środkach, aby zasłużyć się reżimowi. W latach 1967-68 splamiał się przeprowadzeniem czystki antysemitki w armii, za co awansował na ministra obrony. Dowodzone przez niego wojsko wzięło udział w radzieckiej inwazji na Czechosłowację, tłumiącej wolnościową Praską Wiosnę. Za jego akceptacją w grudniu 1970 r. użyto wojska do utopienia we krwi buntu robotników Wyrzeża.

Za tę postawę, a także za poparcie partyjnego puczu Edwarda Gierka przeciwko Gomułce awansował w 1971 r. do ścisłego kierownictwa PZPR. Jeszcze wyżej wniósł go kolejny kryzys systemu komunistycznego, wywołany wielkim buntom społecznym z sierpnia 1980 r. i powstaniem „Solidarności”. W lu-

tym 1981 r. został premierem PRL, a w październiku tego samego roku – I sekretarzem KC PZPR, co oznaczało przejęcie steru państwa.

13 grudnia 1981 r., aby zdusić wolnościowe dążenia 10-milionowej „Solidarności”, wprowadził stan wojenny, wypowiadając wojnę własnemu narodowi. Powtarzał potem, że podjął tę decyzję, aby ratować kraj przed radziecką interwencją. Historycy do dziś prowadzą spór, na ile była to realna groźba. Jedno jest jednak pewne. W obliczu rosyjskiego zagrożenia nie zachował się jak bohater narodowy generał Tadeusz Kościuszko, który w 1794 r., mając za sobą o wiele słabsze niż Jaruzelski wojsko i o wiele mniej skonsolidowany naród, z bronią w ręku bronił wolności i suwerenności Polski. On zaś zniewolenie Polaków przez Sowietów zastąpił własnoręcznym założeniem narodowi kajdan.

Gdyby to był ostatni akord jego rządów, przeszedłby do historii Polski jako jeden z jej najczarniejszych charakterów. Ale Jaruzelski zapisał jeszcze jeden rozdział naszych dziejów. W 1989 r., w obliczu głębokiego kryzysu komunizmu w ZSRR i w Polsce, z błogosławieństwem sowieckiego przywódcy-reformatora Michaiła Gorbaczowa, zdecydował się na gruntowny remont systemu polegający na dopuszczeniu do współzrządzenia zwalczanej do tej pory „Solidarności”. Kiedy w wyborach z 4 czerwca 1989 r. Polacy masowo poparli „Solidarność”, dyktator zrozumiał, że nieuchronnie zbliża się koniec systemu. Wybrany w lipcu 1989 r. przez parlament na urząd prezydenta PRL nie blokował solidarnościowej rewolucji i lojalnie współpracował z pierwszym solidarnościowym premierem Tadeuszem Mazowieckim.

Cenił go za to patronujący zmianom polski papież. Krytycy generała, uważający go za zdraycę, skrzętnie ukrywają, że Jan Paweł II w trakcie wizyt w Polsce zawsze znajdował czas na osobiste spotkanie z Jaruzelskim albo na napisanie do niego serdecznego listu. Doskwiera tym propagandzistom, że gloryfikowanego przez nich Jaruzelskiego papież tak nie wyróżniał.

Jak widać, rozhuśtane fale narodowych dziejów miały Jaruzelskim w różne strony. Większość stron swego politycznego życiorysu zapisał zdecydowanie na czarno. Ale były też i karty jaśniejsze, włącznie z tą dla Polaków najważniejszą – z przywracającego wolność i suwerenność roku 1989. Warto o tym pamiętać, zwłaszcza w czasach, kiedy musimy zmagać się z kolejnym nawrotem autorytaryzmu. ●

25

25 maja w Sejmie RP wystąpił przewodniczący ukraińskiej Rady Najwyższej Ruslan Stefanczuk. W dobrze przygotowanym przemówieniu, odnosząc się do rocznicy zbrodni wołyńskiej, stwierdził m.in.:

„Rozumiemy wasz ból po stracie swoich najukochańszych. Wszystkim rodzinom i potomkom ofiar ówczesnych wydarzeń na Wołyniu składam wyrazy szczerego współczucia i wdzięczności za podtrzymywanie światłej pamięci o swoich przodkach. Pamięci, która nie wzywa do zemsty ani nienawiści, ale służy jako ostrzeżenie, że nic takiego nigdy więcej nie powtórzy się między naszymi narodami”.

To najmocniejsze słowa, jakie padły na ten temat ze strony wysokiego przedstawiciela ukraińskiego państwa, i tym bardziej należy je docenić. Dają one nadzieję, że pamięć o tym dramatycznym fragmencie polskiej przeszłości w końcu stanie się historią. Naiwnością byłoby jednak sądzić, że stanie się tak samo z siebie.

Na początku lat 90. XX w. cała historia polsko-ukraińskich relacji przypominała pole minowe. Czegokolwiek by dotknąć: czasów Jarosława Mądrego czy Kazimierza Wielkiego, powstania Bohdana Chmielnickiego, a nawet unii brzeskiej, od razu budziło to gwałtowne spory i kłótnie. Kto dziś pamięta, ile emocji wywołała decyzja Jerzego Hoffmana, by nakreślić „Ogniem i mieczem”? Dopiero na tym tle widać, jakim sukcesem jest prowadzony od 30 lat dialog polsko-ukraiński. Mozolnie, krok po kroku, wysiłkiem publicystów, naukowców, ludzi kultury, duchownych i polityków kolejne sprawy były zdejmowane z agendy politycznej.

Od ponad dekady właściwie jedynym tematem z przeszłości, który ma wciąż wpływ na współczesność, pozostaje kwestia zbrodni wołyńskiej, czyli „antypolskiej akcji” Ukraińskiej Powstańczej Armii.

● ● ●

Trudno się zresztą temu dziwić, był to bowiem jeden z najkrwawszych polskich epizodów II wojny światowej. Na początku 1943 r. banderowska frakcja Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i kierowana przez nią UPA postanowiły wraz z rozpoczęciem walk partyzanckich przeciwko wszystkim „okupantom” Ukrainy przeprowadzić depolonizację terenów spornych z Polską. 9 lutego 1943 r. ofiarą UPA padła pierwsza polska wieś Parośla, a w kolejnych tygodniach dziesiątki następnych.

11 lipca 1943 r. mordy ogarnęły około 100 wsi, a i tak szefowie OUN byli niezadowoleni. W sprawozdaniu OUN z okręgu Włodzimierz – Horochów za lipiec 1943 r. stwierdzono: „Antypolska akcja w większości wypadków przeprowadzona nieudanie. Padali niepotrzebni, a aktywny element antyukraiński, oczywiście zorganizowany i uzbrojony, albo uciekł, albo stawiał zbrojny opór, zadając nam straty. Najlepiej przeprowadzono akcję w rejonie Poryckim, dobrze w Horochowskim, zadowalająco w centralnym, źle w Beresteczku i Oździutyczach, całkiem się nie odbyła w miastach Włodzimierz, Horochów oraz w rejonie Uściuług i Werba. W prowadzonej akcji brała udział w niektórych miejscowościach [podkreślenie – G.M.] ludność”.

To oczywiście tylko jeden z nielicznych znanych dokumentów potwierdzający zorganizowany charakter czystki. W czasie napadów zabijano wszystkich Polaków, a byli to najczęściej niezamożni rolnicy, różniący się od swych sąsiadów Ukraińców tylko narodowością i wyznaniem.



FOT. AUT. ORNIEZANANY / ARCHIWUM WOJSKOWEJ AGENCJI FOTOGRAFICZNEJ

80. rocznica zbrodni ukraińskich nacjonalistów

ROZWIĄZAĆ WĘZEL WOŁYŃSKI

Trudno uwierzyć, ale zakaz pochowania szczątków tysięcy polskich ofiar jest utrzymywany, ponieważ polski i ukraiński IPN toczą spór o kształt jednego zdania na pomniku i obecność na nim kilkudziesięciu nazwisk!

Grzegorz Motyka

• „Będziemy z wami współpracować nad tym, byśmy zaakceptowali prawdę bez względu na to, jaka ona będzie. Razem musimy zdać ten niełatwy egzamin” – mówił 25 maja w Sejmie o rzezi wołyńskiej Ryszard Stepanczuk, przewodniczący Rady Najwyższej Ukrainy

FOT. SEAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



• • •
Prowadzone między lutym 1943 a majem 1945 r. czystki UPA objęły olbrzymi teren Wołynia i Galicji Wschodniej, zamieszkiwany przez mniej więcej 1,5 mln Polaków. W wyniku planowych napadów zginęło ich w sumie około 100 tys. (najwięcej, bo 40-60 tys., na Wołyniu). Znakomita większość, co ważne, do dziś nie doczekała się choćby symbolicznego pochówku. Kolejne 300-400 tys. osób zostało zmuszonych do ucieczki. Wyjeżdżali do centralnej Polski, niosąc ze sobą opowieści o zbrodniach UPA.

Trzeba też wspomnieć o akcjach zemsty polskiego podziemia. W ich wyniku zginęło 10-15 tys. cywilnych Ukraińców, głównie na ziemiach dzisiejszej Polski, gdzie podziemie polskie, siłą rzeczy, było zdecydowanie silniejsze. Inaczej niż na Wołyniu – co warto podkreślić – na terenach dzisiejszej Polski to Ukraińcy z reguły byli niewinnymi ofiarami.

• • •
Informacje o zbrodniach na Wołyniu już w czasie wojny stały się znane polskiej opinii publicznej. Szybko dostrzeżono, że spełniają one definicję genocydu/ludobójstwa, stworzoną przez Rafała Lemkina. Widać to choćby w komunikacie polskich i ukraińskich historyków, który powstał w czerwcu 1994 r., po konferencji zorganizowanej

z inicjatywy kwartalnika „Karta” w Podkowie Leśnej. Czytamy w nim: „Strona polska uważa, że ukraińskie podziemie nacjonalistyczne rozpoczęło działania zmierzające do depolonizacji obszarów Zachodniej Ukrainy (...), strona polska uznaje fakty eksterminacji ludności cywilnej za zbrodnię ludobójstwa”.

Spośród polityków bodajże jako pierwszy użył tego pojęcia prezydent Aleksander Kwaśniewski w przemówieniu wygłoszonym w 2003 r. w 60. rocznicę wydarzeń w Porycku/Pawliwce. Ocenę tę potwierdziły uchwały polskiego parlamentu z 2009, 2013 i w końcu z 2016 r.

Jeśli po polskiej stronie przekonanie o ludobójczym charakterze czystek jest powszechne, to po ukraińskiej należy do rzadkości. W ocenie ukraińskich badaczy zbrodni ludobójstwa mogą dopuścić się tylko struktury państwowe, a UPA była armią partyzancką. Ukraińscy uczestnicy dyskusji podają także w wątpliwość wyliczenia ofiar (nie negują faktu, że Polaków zginęło więcej, ale ich zdaniem proporcje rozkładały się 1:3, a nie 1:10), ogólnie też stoją na stanowisku symetrii win obu stron konfliktu. W ich przekonaniu w trakcie II wojny światowej polskie i ukraińskie podziemie prowadziło ze sobą wojnę, w czasie której obie strony dopuszczały się zbrodni wojennych. Ukraińcy zdecydowanie podkreślali

od lat, że walka UPA z sowieckim komunizmem, zwłaszcza powojenna, stała się symbolem, z którego nie mogą zrezygnować ze względu na rosyjskie zagrożenie.

• • •
Dialog naukowców i publicystów nie doprowadził do wypracowania wspólnego stanowiska, niemniej moim zdaniem odegrał ważną rolę społeczną – oswoił polską i ukraińską opinię publiczną z odmiennym postrzeganiem przeszłości. Każdy, kto choć trochę interesował się tą tematyką, musiał słyszeć o różnicach w sprawie oceny działań UPA. Także z tego powodu, wbrew rosyjskim oczekiwaniom, polskie i ukraińskie różnice w ocenie Wołynia '43 nie miały wpływu na wybuch niespotykanej sympatii dla walczącej w obronie niepodległości Ukrainy. Pomoc niesiona ukraińskim uchodźcom, jak również wsparcie dla państwa ukraińskiego w chwili najcięższej próby miały trudny do przecenienia wpływ na przebieg wydarzeń wojennych. Ukraińskie sukcesy na froncie polska opinia publiczna nieodmiennie śledzi z życzliwą satysfakcją.

Skala wzajemnej sympatii i zrozumienia wspólnoty interesów narodowych osiągnęła niespotykany w naszej historii poziom. Stwarza to niebywałą szansę, aby spory z przeszłości ostatecznie zdjąć z agendy

politycznej, pozostawiając ich ostateczne wyjaśnienie środowiskom naukowym. Aby tak się stało, należy jednak w pierwszej kolejności rozwiązać sprawę cmentarzy ofiar UPA, których brak jest dotkliwie odczuwany przez ich żyjących bliskich.

• • •
Człowiekiem, który dobrze rozumiał wagę tego problemu, był niewątpliwie Andrzej Przewoźnik, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Dzięki jego staraniom jeszcze w 2005 r. udało się podpisać umowę o budowie około 100 cmentarzy, na których miały spocząć polskie (ale też ukraińskie) ofiary ówczesnego konfliktu. Obejmowała ona najważniejsze, wręcz symboliczne miejscowości, których nazwy powtarzają się w relacjach świadków. Choć realizacja tej umowy postępowała powoli, w tempie jeden, dwa upamiętnienia na rok, to nie przerwała jej nawet tragiczna śmierć Przewoźnika w katastrofie smoleńskiej. Jeszcze w 2011 r. powstało miejsce pamięci w Woli Ostrowieckiej, rok później w Podkamieniu, z kolei 11 lipca 2013 r. prezydent Bronisław Komorowski złożył wieniec w Kisielinie, gdzie cudem przeżył napad UPA ojciec kompozytora Krzesimira Dębskiego. Później jednak było już tylko gorzej.

W 2016 r. doszło w Polsce do zniszczenia przez nieznaną sprawców jednego legalnego i kilkunastu nielegalnych ukraińskich upamiętnień. To wtedy strona ukraińska wprowadziła zakaz ekshumacji polskich ofiar w Ukrainie. Anton Drobowycz, od czasu wygranej prezydenta Wołodymyra Zelenskigo prezes ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, jako warunek zniesienia zakazu podał odbudowę tego jednego legalnego pomnika postawionego na górze Monasterz na grobie 62 członków UPA zabitych w walce z NKWD. Pomnik odbudowano w 2020 r. (nie przypadkiem dopiero po wyborach prezydenckich w Polsce), ale pod wpływem opinii kresowo-konfederackich zmieniono jego kształt. W ten sposób zaczęła się, jeśli można tak powiedzieć, wojna dwóch IPN-ów. Zdaniem strony ukraińskiej na upamiętnienie powinny powrócić usunięte nazwiska poległych oraz pierwotny napis: „Zginęli za niepodległą Ukrainę”. Według polskiego IPN możliwa jest tylko zgoda na aktualny napis: „Zginęli w walce z NKWD”.

Aż trudno w to uwierzyć, ale zakaz poszukiwania i pochowania szczątków kilkudziesięciu tysięcy polskich ofiar jest od paru lat utrzymywany, ponieważ polski i ukraiński IPN toczą spór o kształt jednego zdania i kilkadziesiąt nazwisk! Ach, jeszcze o to, czy szefowie polskiego i ukraińskiego IPN mogą ze sobą rozmawiać, skoro ten pierwszy jest niezależny, a drugi podlega pod ministerstwo kultury...

• • •
Spór powrócił w ostatnich tygodniach. Najpierw 17 czerwca ukazał się wywiad z prezesem Drobowyczem. Nie zaproponował on, jak można by się spodziewać, powrotu do rozmów, lecz twardo zapowiedział, mówiąc kolokwialnie, że „ekshumacji nie ma i nie będzie”, dopóki nie zostaną spełnione jego oczekiwania. Kategorieczny ton prezesa ukraińskiego IPN można by zrozumieć jeszcze 23 lutego 2022 r., ale po tej dacie coś się jednak między naszymi narodami stało. Tymczasem Drobowycz mówi tak, jakby w ostatnich miesiącach nie było setek tysięcy Ukraińców przyjmowanych gościnnie w polskich domach albo transportów sprzętu i zaopatrzenia jadących do Ukrainy. Najwyraźniej też nie pojął, że Polacy pomagają Ukrainie pomimo pamięci o Wołyniu '43, a nie z chęci podania fragmentu swojej historii społecznej lobotomii. Brak choćby odrobiny empatii dla rodzin ofiar zbrodni wołyńskiej, tak kontrastujący z cytowaną na początku wypowiedzią przewodniczącego Rady Najwyższej, musiał wywołać i wywołał ogromne poruszenie po polskiej stronie (i cichą satysfakcję środowisk kresowo-konfederackich).

W odpowiedzi Drobowyczowi



stwierdził, że w sprawie napisu i nazwisk na pomniku cała racja jest po stronie polskiej, a od negocjacji z ukraińskimi partnerami jest Ministerstwo Kultury. To oczywiście ciekawe, że IPN jako odpowiedzialnego za to, że „w ciągu ośmiu ostatnich lat” rządów PiS nie zbudowano choćby jednego wołyńskiego cmentarza, wskazuje ministra Jarosława Sellina (co warto polecić uwadze jego kresowych wyborców). Jeszcze większe wrażenie robi jednak to, że rzecznik opowiadał o formalno-urzędniczym impozycjach prezesa polskiego IPN w dniu, kiedy cały świat patrzył z zapartym tchem na bunt Jewgienija Prigożyna!

Poświęcam tej sprawie tyle miejsca, ponieważ jest ona kluczowa dla zakończenia polsko-ukraińskiego konfliktu pamięci. Uważam, że spór polskiego i ukraińskiego IPN ma charakter gorszący i szkodzący Polsce i Ukrainie. Co ważne, w gorących pierwszych miesiącach wojny wśród rozlicznych rosyjskich prowokacji tylko przypomnienie o zakazie ekshumacji odnosiło w przestrzeni elektronicznej pewien ograniczony skutek, na szczęście nie wpływając w większym stopniu na postawy społeczne.

Być może w chwili, kiedy ten tekst się ukazuje, problem faktycznie został już rozwiązany na wyższym szczeblu – czy to ministrów kultury, czy ośrodków prezydenckich. Jeśli jednak tak się nie stanie, apelowałbym o jak najszybsze jego rozwiązanie. Brak choćby symbolicznych możliwości dla dziesiątek tysięcy Polaków będzie stałym czynnikiem jątrzącym wzajemne relacje i w nieskończoność przedłużającym historyczne spory. Czy naprawdę po doświadczeniu braterstwa broni z ostatnich miesięcy tak trudno powrócić do umowy przygotowanej przed laty przez Andrzeja Przewoźnika lub wypracować jej nowy, lepszy wariant?

Zbudowanie sieci cmentarzy obejmującej najważniejsze miejsca zarówno napadów UPA, jak i polskich akcji zemsty pozwoli rodzinom ofiar na ostateczne pożegnanie swoich bliskich. Stworzy miejsca, gdzie będzie można złożyć kwiaty, zapalić świeczkę, pomodlić się w zadumie. A także uniemożliwi wykorzystywanie tego tematu przez putinowską propagandę.

Równoległe, oczywiście, powinien toczyć się na różnych poziomach dialog historyczny. Nie należy obawiać się otwartej rozmowy naukowców i osób zainteresowanych. Nie tylko może, ale wręcz powinna obejmować ona wszystkie punkty sporne: kiedy spełniona jest definicja ludobójstwa, szacunki strat, wreszcie rozłożenie win na strony konfliktu. Takie debaty z czasem doprowadzą do pewnego zbliżenia stanowisk, choć będzie to proces długotrwały i raczej mało efektowny.

Z góry powinniśmy przy tym założyć, nauczeni doświadczeniem 24 lutego 2022 r., że spór o Wołyń '43 jest naszą wewnętrzną polsko-ukraińską sprawą i nikomu trzeciemu nie należy pozwalać go rozstrzygać. Możemy się kłócić i emocjonalnie spierać, ale parafrazując św. Pawła, „nad naszym gniewem nigdy nie powinno zachodzić słońce”.

Pozostaje oczywiście sprawa kultu UPA. Pomniki Bandery czy Szuchewycza nigdy nie przestaną przykro poruszać polskiej wrażliwości. Ukraina ma dziś jednak tysiące nowych bohaterów walki o niepodległość i codziennie przybyszą kolejni. Jest kwestia czasu, kiedy kult zwycięskiej wojny zdominuje ukraińską przestrzeń symboliczną. A oddawaniu szacunku bohaterom Azowstału czy Bachmutu możemy przeciwieństwo tylko przyklasnąć.

Zakończeniu gorszącego sporu o cmentarze i powrotowi do cierpliwego dialogu historycznego koniecznie muszą towarzyszyć symboliczne gesty polityków. Najlepiej tak mądre i poruszające jak oddające hołd ofiarom Wołynia wystąpienie Rusłana Stefanuczka. To wszystko jest stosunkowo łatwe do przeprowadzenia, warto podążyć tą ścieżką. ●

► **Prof. Jarosław Hrycak jest historykiem, wykładowcą Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie. Autor m.in. fundamentalnego opracowania „Historia Ukrainy 1772-1999. Narodziny nowoczesnego narodu” i poświęconej Iwanowi France książki „Prorok we własnym kraju”, za którą otrzymał Nagrodę im. Jerzego Giedroycia**

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN. Członek Kolegium IPN. Wybitny badacz stosunków polsko-ukraińskich, autor m.in. książek: „Pany i rezuny. Współpraca AK-WiN i UPA 1945-1947”, „Od rzezi wołyńskiej do akcji »Wista«”, „Wołyń '43”, „Cień Kłyma Sawura. Polsko-ukraiński konflikt pamięci”, „Akcja »Wista« '47. Komunistyczna czystka etniczna”

80. rocznica zbrodni wołyńskiej

PRZESZŁOŚĆ MOŻE

Po wybuchu wojny UPA stała się dla Ukraińców ważnym elementem historycznej pamięci. A Bandera, który wcześniej dzielił, po raz pierwszy od uzyskania niepodległości zjednoczył naród jako symbol walki z Rosją.

ROZMOWA Z
PROF. JAROSŁAWEM HRYCAKIEM

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Od lat bywa pan w Polsce – teraz w sklepie, w kawiarni, na konferencji i na ulicy słyszy pan ukraiński język. Jakie to uczucie być w Polsce wśród swoich, którzy tu pracują, wychowują dzieci?

PROF. JAROSŁAW HRYCAK: Ta sytuacja rodzi we mnie dwojakiego rodzaju uczucia. Z jednej strony obecność Ukraińców w Polsce każe mi stale pamiętać, że w moim kraju panuje bieda, a od roku dodatkowo wojna, i ludzie muszą z niego emigrować, a nawet uciekać. Z drugiej strony budzi we mnie radość to, że Ukraińcy mają sąsiada, który udziela im schronienia i pomaga. Mam nadzieję, że spora część Ukraińców jednak kiedyś wróci do domu z nowym i pozytywnym doświadczeniem. Będą dzięki niemu mogli uczynić swój kraj normalnym państwem.

Nie boi się pan drenażu mózgow?

– Nie znam żadnego kraju, który wyrwał się spod władzy imperium i mógł od razu stać się normalnym państwem bez okresu masowej emigracji. Emigranci wspierają kraj finansowo, ale jeszcze lepiej, gdy mogą wrócić i wykorzystać to, czego nauczyli się w bogatszych i lepiej zorganizowanych krajach, do rozwoju własnego państwa.

Takie są surowe realia historii, której dwa główne zjawiska to bieda i przemoc.

Ukraińcy, którzy w Polsce szukają zarobku albo schronienia przed wojną, myślą o trudnej historii Polski i Ukrainy?

– Może socjologowie mają inne obserwacje, ale ja sądzę, że w większości przypadków ci ludzie zajęci są swoimi codziennymi problemami i zastanawiają się nad swoją przyszłością. O historii polsko-ukraińskiej wiedzą tyle, ile zobaczą w telewizji, internecie, co im powiedzą politycy, a czasem tylko rodzice albo dziadkowie.

Może więc dziś, przed kolejną rocznicą Wołynia, zbytnio skupiamy się na problemach, a za mało doceniamy pokojowe wspólne życie obu narodów?

– Nie wiem, czy za bardzo, czy może za mało – należy jednak do tej grupy historyków, którzy uważają, że historię lepiej robić, niż się na nią stale oglądać, o niej dyskutować i o nią się kłócić. Szczerze mówiąc, ja wcale nie lubię historii, a w szczególności naszej wspólnej historii...

Pan – profesor historii?!

– Lekarz też nie musi lubić chorób, które leczy, ale musi o nich dużo wiedzieć, by pomóc pacjentom. Przeszłość, zwłaszcza jej rozpamiętywanie, to choroba, z której musimy się wyleczyć. Przeszłość może okazać się trucizną dla społeczeństwa, czego najlepszym przykładem jest putinowska Rosja.

Jak ważna jest dziś Polska dla Ukrainy? W Warszawie zawsze były obawy, że Kijów, jeśli tylko będzie mógł, zacznie sam rozmawiać z Berlinem, Paryżem czy Waszyngtonem. Teraz prezydent Wołodymyr Zełenski jest bohaterem dla demokratycznego świata. Potrzebuje Polski?

– Polska jest drugim w kolejności państwem, w którym schronienie znaleźli Ukraińcy i które występuje stale w roli adwokata Ukrainy. Temu nie można zaprzeczyć i nie można tego ignorować. Nie uważam, aby przed Kijowem stanął problem wyboru między Berlinem a Warszawą. W interesach Ukrainy jest powstanie osi – Warszawa-Berlin-Bruksela-Londyn-Waszyngton. Jeśli jakiś element tej osi odpadnie, Ukraina będzie miała wielkie kłopoty i może nie przetrwać.

Trwa wojna na wyczerpanie. W tym sensie wojna rosyjsko-ukraińska w dużym stopniu przypomina I wojnę światową. W takiej wojnie nie będzie decydujących bitew i nie będzie wielkiej parady ukraińskich wojsk na placu Czerwonym. W ostatecznym rachunku to wojna na zasoby i przegrana ten, kto szybciej wyczerpie zasoby materialne i duchowe. Ukraińcy walczą dzielnie i mają wysokie morale, ale jeśli Ukraina zostanie sam na sam z Rosją, z pewnością przegra. Nie ten rozmiar, nie ten potencjał. Polacy powinni rozumieć, że Ukraina nie wygra, jeśli będzie miała tylko wsparcie Polski – potrzebny jest dostęp do zasobów Zachodu. A wtedy Rosja nie będzie miała szans.

Nie boi się pan, że okres braterstwa obu narodów, Polaków i Ukraińców, skończy się, gdy w Polsce zacznie się na poważnie recesja?

– Zna pan dowcip o rozwodzących się staruszkach? Otóż rozwodzi się para staruszków. Ona ma 98 lat, on – 99. Sędzia zadaje im pytanie o przyczynę. Staruszek mówi: „Nie dla mnie gotuje, nie nocuje w domu, ale cały czas się kłóci – nie mogę więcej jej ścierpieć”. Tymczasem żona odpowiada: „To leń, nic nie robi, tylko pije i mnie bije – nie chcę więcej już z nim żyć!”. Zdziwiony sędzia dopytuje: „Ale czemu państwo dopiero teraz postanow-



wiliście się rozjeść?”. A starszuszkiwie na to: „Panie sędzio, bo nam było żal dzieci. Czekaliśmy, aż poumierają”.

Tak samo Polacy i Ukraińcy powinni się nauczyć, że nawet jeśli są jakieś pretensje i wzrasta niechęć, to przynajmniej należy poczekać z awanturą, aż skona reżim Putina.

Pytanie, kto przyjdzie po nim.

– To prawda. Kłopot z Rosją jest taki, że ciągle wyrwa się tam do władzy jakiś Lenin, Stalin albo Putin. Nie ma gwarancji, że jeśli Putin zniknie, to nie pojawi się na Kremlu jakiś nowy „in”. Tym bardziej jednak musimy – my, Ukraińcy, i Polacy – nauczyć się żyć ze sobą we względnej zgodzie.

No właśnie, Ukraińcy uważają, że teraz, gdy walczą z Rosją, lepiej nie poruszać tematów historycznych. Polacy odpowiadają, że to dobry moment, by załatwić sprawę Wołynia raz a dobrze.

– Brałem udział w wielu różnych próbach pojednania polsko-ukraińskiego i załatwienia sprawy Wołynia. Kilka z nich nawet sam organizowałem. Otóż moje doświadczenie z tej działalności podpowiada mi, że jest mało prawdopodobne, by Polacy i Ukraińcy pojednali się w sprawie Wołynia za mojego życia. To nie znaczy, że nie należy nic w tym kierunku robić. Każda inicjatywa jest dobra. Tylko że stare formuły pojednania – listy, dialog Kościołów, wspólne oświadczenia prezydentów – już nie działają. Z polskimi przyjaciółmi nawet myśleliśmy niedawno o tym, aby ogłosić wspólną minutę ciszy 8 lipca – na 500. dzień wojny i na kilka dni przed 80. rocznicą Wołynia. Zdaliśmy sobie jednak sprawę, że taką inicjatywę powinni ogłosić obaj prezydenci – ale my do nich nie mamy dostępu.

Teraz gdy zbliża się 80. rocznica tragedii na Wołyniu, temperatura dyskusji rośnie. Proszę jednak zwrócić uwagę, że jeśli porównamy obecne czasy do lat 1939-47, to trudno nie być optymistą. Spieramy się na słowa, ale oba kraje łączy sojusz, a oba narody współżyją całkiem zgodnie.

Czego, pana zdaniem, Polacy nie rozumieją w sprawie UPA?

BYĆ TRUCIZNĄ

– Wojna z Polakami nie była głównym celem UPA. Celem tym było wywalczenie ukraińskiego państwa, za głównego wroga uważano zaś Rosję, czyli wtedy Związek Radziecki. Polacy, ale także Żydzi byli wrogami w dalszej kolejności. Mówiąc to, zdają sobie sprawę, że ani Polakom, ani Żydom nie było z tego powodu bynajmniej lżej. Nie powinni oni jednak uważać UPA za coś wyjątkowego, a w szczególności nie powinni uważać działalności UPA na Wołyniu za ludobójstwo ze szczególnym okrucieństwem. To, niestety, był raczej przejaw Zeitgeistu – ducha tamtych czasów. Znanie jest hasło ukraińskich nacjonalistów: „Ukraina dla Ukraińców, Lachów za San, Moskali do grobu, Niemców do Berlina, a Żydów na hak!”. Otóż jeden z najlepszych historyków II wojny światowej prof. István Deák, Amerykanin żydowsko-węgierskiego pochodzenia, który jako dziecko przeżył Holocaust, pisał, że nie wie, ilu Ukraińców podpisałoby się pod tym hasłem, ale on nie ma wątpliwości, że w swej istocie filozofia tego hasła była bliska wielu milionom Europejczyków.

Jest historia UPA, ale jest pamięć Holodomoru, jest Niebiańska Sotnia i rodząca się legenda wojny od 2022 r. Może UPA nie jest już taka ważna w historii Ukrainy?

– Przeciwnie: wojna doprowadziła do tego, że UPA stała się ważnym elementem historycznej pamięci. Do czasu napaści Putina na mój kraj postać Stepana Bandery dzieliła Ukraińców. Jedni uważali go za bohatera, ale inni sądzili, że był bandytą. Według socjologów już dwa miesiące po wybuchu wojny Bandera, po raz pierwszy od uzyskania niepodległości, zjednoczył naród jako symbol walki z Rosją. Wątpię, by w ciągu tamtych dwóch miesięcy Ukraińcy dowiedzieli się o Banderze czegoś, czego nie wiedzieli wcześniej. To okoliczności tworzą bohaterów.

Mówił pan 10 lat temu w Fundacji Batorego, że „Ukraińcy czują się bardzo dziwnie. Z jednej strony świat nie chce uznać, że Wielki Głód był ludobójstwem. (...) Z drugiej, wymaga się – i to właśnie tak jest odczuwane – od nich, że mają uznać Wołyn za ludobójstwo, które spowodowali Ukraińcy”. Przekonywał pan wtedy, że tylko europejska perspektywa pomoże Ukraińcom inaczej spojrzeć na Wołyn. Dziś Polska, ale także niemal cała Europa i USA pomagają Ukrainie – czy to nie wystarczy?

– Wciąż brak członkostwa Ukrainy w UE i NATO. Kiedy rozwiązane zostaną problemy bezpieczeństwa, znacznie łatwiej będzie nam rozmawiać o przeszłości.

Tymczasem to Anton Drobowycz, szef ukraińskiego IPN, zarzucił polskiej stronie, że nie dba o obiekty pamięci UPA w Polsce.

– Drobowycz to inteligentny człowiek, a w tym wywiadzie mówił nie tylko o Polsce.

Ale ten fragment został w Polsce nagłośniony.

– Radzę tym, którzy rzucają kamieniem w Drobowycza, by przeczytali cały jego wywiad, a nie tylko ten wyrwany cytat. Te słowa były odpowiedzią na pytanie dziennikarza o wypowiedź rzecznika polskiego MSZ Łukasza Jasiny, który domagał się od prezydenta Ukrainy przeprosin za Wołyn. Drobowycz musiał jakoś odpowiedzieć. Nie chcę i nie będę potępiać Drobowycza – bo w odróżnieniu od Jasiny jest on na wojnie

i walczy, narażając swoje życie. Raczej dziwi mnie słowa Jasiny. Znałem go jako dobrego i inteligentnego historyka. To zrozumiałe, że nikt nie jest na zawsze imprezowany na głupotę i nawet najinteligentniejsi ludzie mają prawo pałać głupstwem. Uważam jednak, że tego prawa nie należy nadużywać. Zwłaszcza w czasie wojny.

20 lat temu był pan w gronie sygnatariuszy listu na temat Wołynia. Wtedy też odstąpiono od słowa „przepraszamy”.

– Ja i kilku kolegów uważaliśmy, że trzeba wyznaczyć: UPA dokonała zbrodni na cywilnej ludności, i trzeba za to przeprosić. Większość jednak uważała, że to byłoby zbyt radykalny krok i Ukraińcy nas nie zrozumieją, za to będzie to woda na rosyjski młyn. Musieliśmy uwzględnić zdanie choćby Myrosława Marynowycza. On spotkał ludzi UPA w łagrach i był pod wielkim wrażeniem siły ich charakteru. W tamtych dyskusjach była gotowość do potępienia zbrodni na Wołyniu, ale nie całej UPA. Dla Polaków takie rozróżnienie wydaje się mało zrozumiałe.

Coś się zmieniło od tamtego czasu?

– Wyrosło nowe pokolenie ludzi, którzy o naszej inicjatywie ani nie pamiętają, ani nie wiedzą. W dodatku to było przed dwoma Majdanami, czyli demokratycznymi rewolucjami z lat 2004 i 2013, a przede wszystkim przed wojną. Wtedy w 2003 r., chcieliśmy wysłać Polakom jasny sygnał. Polska wchodziła do UE, a Ukraina nie, i baliśmy się, że oba kraje może rozdzielić nowa żelazna kurtyna.

To się nie stało.

– Na szczęście stało się coś zupełnie odwrotnego. Ukraina otrzymała perspektywę członkostwa w UE. Ale najważniejsze, że wówczas większość sygnatariuszy listu stanowili ludzie z zachodniej i centralnej Ukrainy, bo na wschodzie i południu większość była przeciwko europejskim aspiracjom. Adam Michnik powiedział kiedyś, że o europejskiej perspektywie Ukrainy zdecydowały nie Lwów ani Kijów, ale Charków i Odessa. Teraz po roku wojny Odessa i Charków chcą do Unii Europejskiej, a bardzo wielu uchodźców z tych miast już tam jest. W przeciwieństwie do nas, mieszkańców Kijowa i Lwowa, oni nie są obciążeni traumą polsko-ukraińskich stosunków w przeszłości. Teoretycznie to mogłoby pomóc naszemu pojednaniu. Czy tak będzie? Przekonamy się na własne oczy.

Często mówił pan, że procesy polityczne w Ukrainie są podobne do polskich, tylko zachodzą kilkadziesiąt lat później.

– Przy wszystkich widocznych różnicach dalej tak uważam. Polska nie zdołała asymilować Ukraińców kulturowo, ale zdołała im przekazać pewne tradycje polityczne. Uważam, że ukraiński nacjonalizm był dzieckiem polskiego nacjonalizmu. A dziś także widzę analogie.

Ukraina chce wejść do UE i NATO, ale wcześniej musi przeprowadzić ważne reformy – dokładnie tak, jak robiła to Polska. Często słyszę w odpowiedzi na moje argumenty, zwłaszcza od samych Polaków, że ich kraj to zły wzór dla Ukraińców. „Spójrz – mówią mi – jakie w Polsce są teraz problemy”. A ja odpowiadam wtedy, że my, Ukraińcy, bardzo chcielibyśmy mieć teraz tylko takie problemy! Niestety mamy zupełnie inne – walczymy o przetrwanie, podczas gdy chcielibyśmy normalnie żyć, właśnie tak jak Polacy, przy wszystkich tych sporach i problemach, jakie macie. ●

Rozmawiał Andrzej Brzeziecki

Wczoraj, czyli dziś

Słowo ptaszkiem wyleci

„To rozwiąże problem przeludnienia” – tak o ofiarach głodu w Irlandii mówili przedstawiciele brytyjskiego rządu.

Maciejewska



„Potwierdza się, że trzeba być przezornym, trzeba być zapobiegliwym, trzeba się ubezpieczać...” – powiedział 26 lat temu premier Włodzimierz Cimoszewicz i przeszedł do historii. Tych kilka słów wypowiedzianych w czasie powodzi tysiąclecia stało się symbolem politycznej gafy.

Dziennikarze wypominają je Cimoszewiczowi, co go irytuje, bo nie szokującego w jego wypowiedzi nie było. Na konferencji prasowej 8 lipca 1997 r. (powódź dopiero się rozkręcała) został zaapytany, czy rolnicy dostaną odszkodowania z rezerwy budżetowej (zaledwie 2 proc. miało ubezpieczenia), pouczył belfersko, że trzeba było być przezornym, ale potem zaznaczył, „że możliwa będzie natomiast pomoc rzeczowa instytucji publicznych, także państwowych i samorządowych, dla osób ewakuowanych oraz później pomoc dla samorządu terytorialnego w naprawie szkód urządzeń publicznych”.

Telewizja puściła tylko pierwsze zdanie i Cimoszewicz wyszedł na aroganta. Mediów społecznościowych nie było, możliwości wytłumaczenia też nie. Czwierć wieku później powodziowy premier stwierdził z goryczą w rozmowie z Magdaleną Rigamonti dla Onetu: „Powiniem być mówić, jak dobrym świętym Mikołajem będzie rząd, a nie że ludzie mają się ubezpieczać”.

Trochę przesadza, bo konsekwencji politycznych nie poniósł. Wprawdzie w październiku 1997 r. ustąpił miejsca Jerzemu Buzkowi, ale cztery lata później SLD wrócił do władzy, a Cimoszewicz został ministrem spraw zagranicznych.

Historia zna mnóstwo zaskakujących wypowiedzi polityków, którzy mierząc się ze skutkami klęski żywiołowej, sprowokowali kryzys wizerunkowy. Czasem celowo, bo to, co zaszokować mogło ofiary katastrofy, było dobrze przyjmowane przez własnych wyborców. To przypadek sir Charlesa Edwarda Trevellyana, rządowego koordynatora pomocy dla ofiar Wielkiego Głodu, który w latach 1845-49 spustoszył Irlandię. Zaraza grzybowa zniszczyła uprawy

ziemniaków, z głodu zmarło co najmniej milion ludzi, a kolejny milion emigrował. Po pierwszych miesiącach klęski Irlandczycy przestali grzebać trupy – ciała palili razem z chałupami. W tym czasie statki wylądowane irlandzkim zbożem – zbyt drogim dla głodujących – płynęły do angielskich portów.

Premier John Russell oświadczył w parlamencie, że rząd nie ma zamiaru dokarmiać głodujących, kanclerz skarbu Charles Wood tłumaczył, że klęska głodu zlikwiduje problem przeludnienia Irlandii bez konieczności angażowania się w to rządu, a sir Charles Edward Trevelyan uznał, że tragedia irlandzkiej biedoty to po prostu interwencja Boga, który chce zmniejszyć liczbę mieszkańców (katolików!).

Przekonywał przelozonych, że głód dziesiątkujący Irlandczyków rząd powinien potraktować jako karę niebios zsyłaną na niewdzięczny wobec Brytanii naród, dlatego też katastrofie owej nie należy zbyt przeciwdziałać. „Największym złem, z jakim musimy się borykać, nie jest fizyczne zło głodu, ale moralne zło tego samolubnego, zepsutego i niesforne go narodu” – tłumaczył Trevelyan.

Wprawdzie Irlandczycy do dziś pamiętają każde słowo Trevellyana – pojawia się jako nienawistne widmo w popularnej balladzie napisanej w latach 70. XX w. przez Pete'a St. Johna – ale kariery mu to nie zwichnęło. Wprost przeciwnie – mówił to, co chcieli usłyszeć rząd i brytyjska opinia publiczna.

Trevelyan w naszych czasach ma naśladowców. Gubernator Tokio Shintarō Ishihara stwierdził po tsunami i trzęsieniu ziemi w 2011 r., które pochłonęły prawie 20 tys. ofiar, że ta katastrofa była karą boską „tenbatsu”, za egoizm Japończyków. „Musimy wykorzystać tsunami, żeby zmiołło ten egoizm” – stwierdził, choć na szczęście dodał, że żał mu ofiar.

Z kolei premier Włoch Silvio Berlusconi, wizytujący obóz ofiar trzęsienia ziemi w L'Aquila w kwietniu 2009 r., powiedział ludziom, którzy stracili nie tylko dobytek, lecz także bliskich, że powinni to potraktować jako „weekend na kempingu”. „Niczego im nie brakuje, mają leki, ciepłe jedzenie, schronienie na noc” – ocenił.

Na tym tle Cimoszewicz wypadł błado, trudno uznać jego słowa za gafę. Ale warto o nich pamiętać z jednego powodu: niekorzystny dla premiera materiał wyemitowała telewizja publiczna. Dzisiaj taka historia nie mogłaby się zdarzyć. ●

Beata Maciejewska – historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej”

11 lipca Daniel Szczechura skończy 93 lata, filmowcy nadali mu ksywę:

PAPIEŻ POLSKIEJ ANIM

Robiłem mało filmów, bo jestem wygodny. Kiedyś poprosiłem Wajdę o autograf w jego książce. Mówię: „Wie pan, co mnie zadziwiło? Pisze pan, że dopiero w wieku 45 lat jadał pan obiady w domu. Ja bym tak nie dał rady”.

ROZMOWA Z
DANIELEM SZCZECURĄ

JACEK SZCZERBA: Jak zostałeś reżyserem filmów animowanych?

DANIEL SZCZECURA: Animacja, twórczość w pojedynkę, pasowała do mojej mentalności, ale to był przypadek. Na Wydziale Operatorskim w Szkole Filmowej w Łodzi prof. Jerzy Kotowski miał z nami zajęcia o animacji. Zwykle przychodził z dwiema walizkami kopii filmowych, które nam puszczał. Zobaczyłem, że pokój ze stanowiskiem animatora jest pusty. Spytałem, kto zatwierdza filmy animowane. Kotowski odpowiedział: „Ja”. „Kamera stoi i nikt tu nic nie robi?”. „Nikt”. „A pieniądze na udźwiękowanie pan ma?”. „Mam”. „To ja zajmuję to miejsce”.

Wtedy pojawiły się wycinankowe filmy Waleriana Borowczyka i Jana Lenicy. Ważny był zwłaszcza ich „Dom” (1958), powrót do awangardy lat 20. Zachwyciło mnie to. Wsiadłem do pociągu do Warszawy i zacząłem kombinować. Po trzech dniach przyniosłem scenariusz. Kotowski go przeczytał. „Bierzemy” – powiedział.

To były „Konflikty” (1960), film o cenzurze. Publiczność ogląda w kinie melodramat: mąż zastaje żonę z kochankiem. Zabija kochanka strzałem z pistoletu. Zrozpaczona żona zabija męża, a potem popełnia samobójstwo. Publiczność jest zachwycona, z wyjątkiem trzech cenzorów. Żądają zmian. Powstaje nowa wersja filmu, w której nikt nie ginie: kochanek wymyka się, gdy żona przytuła męża. Ta wersja podoba się tylko trzem krytykom.

– Sceny aktorskie z trójkątem małżeńskim to był pastisz kina niemego: żona wysoka, mąż niski, kochanek przystojny. Żonę zagrała późniejsza dokumentalistka Irena Kamińska. Na męża wzięłem Julka Żejmę, studenta z Wydziału Operatorskiego. Był z walizką i w mojej kopie. Dekoracje zrobiłem sam.

Nie bardzo umiem rysować. Zadzwoń do kolegi – Janusza Stannego. Zgodził się zrobić rysunki. Pojechałem z projektem do Studia Miniatur Filmowych na Puławską 61. Siedząca tam pani redaktor powiedziała, że to się nie nadaje: nie ma gagów, nie wiadomo, dla kogo to miałyby być. No i pan dyrektor mógłby to wpisać do planu dopiero w połowie przyszłego roku. Gdy Stanny powiedział mi, że cały film to jednak kupa roboty, a wiedział, że nie mam pieniędzy, żeby mu zapłacić, zacząłem rysować sam.

Operator Stasio Śliskowski był po liceum plastycznym. Powiedział: „Pokażę ci, jak to się robi”. Nakręciłem dwie wersje: czarno-białą i kolorową. Potem

je wymieszałem. Stasio puścił film prof. Stanisławowi Wohlowi. Mało nie spadł z krzesła ze śmiechu. Powiedział: „Jak będziecie mieć z tym problemy, przyjdźcie do mnie”.

Spodobało się?

– W Pałacu Kultury co dwa lata odbywał się festiwal etiud studenckich. Wittek Leszczyński dostał na nim nagrodę za fabularną „Zabawę” (1960), a ja za „Konflikty”. Krytyk Janusz Skwara napisał, że poziom festiwalu był tak niski, że nagrodę za walory publicystyczne dostał film animowany.

Zatrzymajmy się na chwilę przy Jerzym Kotowskim.

– To było nieszczęście. Nie umiał ani rysować, ani animować. Przy jego filmach wszystko robili asystenci. Gdy został rektorem Szkoły Filmowej, spytałem ludzi z łódzkiego Komitetu Wojewódzkiego PZPR: „Jak mogliście go wybrać?”. „Wybraliśmy go, bo jest Żydem. Chcieliśmy pokazać, że po zdjęciu Jerzego Toeplitza Żyd wciąż może być rektorem”.

Kotowski był członkiem partii. Po wyborze zaczął się uczyć czterech języków jednocześnie. Powiedziałem: „Jurek, rozumiem, ale ucz się ich po kolei”. Jego sekretarka mówiła: „Toeplitz przyjeżdżał raz na tydzień i wszystko było w porządku. Ten siedzi tu codziennie, do piątej po południu, i nic nie jest pozalatywane”.

Po „Konfliktach” wylądowałaś na etacie w wytwórni Se-ma-for.

– Przyszedł do mnie dyrektor Ryszard Brudziński: „Chcę zmienić nazwę studia lalkowego w Tuszynie i kręcić w nim różne krótkie formy. Mam wejścia w Naczelnym Zarządzie Kinentatografii. Szkoła Filmowa jest tuż obok. Niech młodzi reżyserzy pierwsze filmy robią u nas. Jest miejsce i dla Janusza Morgensterna, i dla Tadeusza Makarczyńskiego. Wiem, że reżyserzy zatrudnieni w studiu będą mnie za to atakować”.

Brudzińskiego wyrzucili w 1968 r. jako Żyda. Broniąc go, zadarłem z żoną wytwórni. Po zebraniu partyjnym, na którym go wyrzucono, powiedział mi: „Chce mi się rzygać. Facet, którego kiedyś zatrzymano na wartowni, gdy wynosił na lewo 300 metrów taśmy, stwierdził, że nie ma do mnie zaufania. A ja go po tamtym zatrzymaniu wybroniłem”.

Świetnie mi się pracowało z Brudzińskim.

Skąd brałeś pomysły na filmy?

– Wewnętrzna potrzeba kierowała mną rzadko. „Hobby” (1968), podobno mój najlepszy film, wzięło się stąd, że zobaczyłem kobietę robiącą na drutach.



• **Daniel Szczechura**

– ur. w 1930 r., reżyser filmów animowanych, od 1961 r. związany ze studium Se-ma-for w Łodzi. Absolwent historii sztuki na Uniwersytecie Warszawskim i Wydziału Operatorskiego Szkoły Filmowej w Łodzi. Wykładowca warszawskiej ASP. Ważniejsze filmy: „Konflikty” (1960), „Marszyna” (1961), „Brazowy Smok w Krakowie”, „Litera” (1962), „Brazowy Smok”, „Fotel” (1963), „Syrenka Warszawska, Grand Prix w Oberhausen, Złoty Smok w Krakowie”, „Hobby” (1968, nagroda główna w Oberhausen), „Podróż” (1970), „Brazowy Lajkonik”, „Jeśli ujrzyś kota fruującego po niebie...” (1971), „Brazowe Koziółki w Poznaniu”, „O królu Popielu” (1974), „Srebrne Koziółki”, „Gorejące palce” (1975), „Skok” (1978), „Srebrny Medal w Barcelonie”, „Fatamorgana I” (1981, Nagroda Klubów Filmowych w Oberhausen), „Fatamorgana II” (1983), „Dobranocka” (1997). Autor dokumentów „Henryk Tomaszewski” (1995) i „Czy koń wie, że wygrał...” (2017). Laureat nagrody Międzynarodowego Stowarzyszenia Twórców Filmu Animowanego (ASIFA) za całokształt.

U mnie kobieta łapie na laso z włóczki fruujących mężczyzn i zamyka ich w walizce. W filmach „Fatamorgana I” (1981) i „Fatamorgana II” (1983) jest chodzący dom. Wewnątrz toczy się normalne życie. Zobaczyłem to chyba we śnie.

„Fotel” (1963) to była wizja literacka. Ludzie, walcząc o wolne miejsce w jakimś prezydium, podstawią sobie nogi. Wreszcie jeden zajmuje fotel podstępem. Gdy w nim siada, przeistacza się w kogoś identycznego z pozostałymi członkami prezydium. „Nie puszczą tego” – prorokowałem nietrafnie. Wolna Europa nabijała się: w Sali Kongresowej jest któryś tam zjazd partii, a obok, w kinie Wiedza, idzie film Szczechury „Fotel”.

Cenię „Wykres” (1966), który zrobiłem w trzy dni. Mały człowieczek próbuje złapać kulkę, która mu ucieka. Uciekająca kulka zakreskowane przestrzeń, po której się porusza. Wreszcie pozostaje tylko maleńki niezakreskowany fragment kadru. Zrezygnowany człowieczek przestaje gonić kulkę. Wtedy ta zakreskuje go sama. Na końcu słyszymy westchnienie, zresztą moje. Myślałem, że to jest właśnie życie człowieka. Zwykle jednak robiłem filmy z poczucia obowiązku, by wykonać normę – jeden film rocznie.

Przykład ważnego filmu, który powstał z poczucia obowiązku?

– Po Brudzińskim dyrektorem w Se-ma-forze został Janusz Galewicz. Nie dogadywaliśmy się. Zadzwoń: „Co pan robi, panie Danielu?”. Po dwóch miesiącach zadzwonił znowu.

Wtedy napisałem scenariusz „Podróż” (1970). Za oknem wagonu przesuwa się pejzaż. W oknie stoi facet, tyłem. Pociąg wjeżdża na stację. Facet wysiada. Idzie do domu z kolumnami. Dzwoni. Nikt nie otwiera. Facet wraca pociągiem. Teraz jedzie twarzą do nas.

Galewicz przeczytał, popatrzył na mnie: „Kiedy pan chce to robić?”. I zawołał do współpracownika: „Panie Sławku, pan to roześle do recenzji”.

Robiąc film, szybko uświadomiłem sobie, że dworzec, który pokazuję, to Żyrardów. A dom to plac Zwycięstwa w Łodzi. Najlepszą radę dał mi kompozytor Genio Rudnik: „Albo idziesz na widza: wprowadzasz konduktora sprawdzającego bilety, krowy chodzące za oknem, przesuających się ludzi, albo robisz czystą historię, rezygnując z widzów, jak John Cage, który zrezygnował ze słuchaczy w muzyce”.

Wybrałem Cage’a. Pierwszą wersję pociągowego przesuwu robiłem trzy dni. Nie mogłem się pomylić o pół milimetra. Wywołał mi rolę. Nie spodobała mi się. Zdecydowałem: „Powtarzamy”. Operator Waclaw Fedak zaprotestował: „To ja poproszę o drugą umowę”. „Przecież film jest nieskończony”. „Jak to nieskończony?”. „Tak to, bo ja go nie zatwierdzam”. „No to idziemy do dyrektora”. Ostatecznie zrobił drugi przesuw za te same pieniądze.

Operator Kazimierz Konrad był w komisji kwalifikacyjnej filmów na festiwal krótkiego metrażu w Krako-

wie: „Wybroniłem »Podróż«. Nie chcieli jej zakwalifikować. Tyle mnie to kosztowało”. Podziękowałem: „Nie liczę na nagrodę”. Dostałem Brązowego Lajkonika. To jedyna nagroda dla tego filmu, chociaż jeździł po świecie. Był w kinach jako dodatek. Ludzie protestowali. Kierownik kina napisał do wytwórni, żeby nie dawać więcej takich filmów.

Niektórych animacji się wstydzisz. Zrobiłeś je pod pseudonimem Karol Wirten.

– Robiłem filmy, dobrze mi płacili, ale nie miałem pomysłów. Słyszałem od dyrektorów: „Ma pan dar narracji, robi pan szybko. Czasem brakuje mi filmu do wykonania planu. Jak pan go nie robi, cała załoga nie dostanie premii”. Tak zrobiłem „Na jezdni” (1964) o automobiliście, który nie przestrzega przepisów drogowych.

Robiłem mało, bo jestem wygodny. Na jakimś jubileuszu Andrzeja Wajdy pan Andrzej chodził wśród gości. Poprosiłem go o autograf w jego właśnie wydanej książce. Powiedziałem: „Wie pan, co mnie w pana książce zadziwiło? To, że pisze pan, że dopiero w wieku 45 lat jadał pan obiady w domu. Ja bym tak nie dał rady”.

Miałeś też projekty filmów aktorskich.

– W 1963 r. miałem robić półgodzinny film „Piąte, nie zabijaj”. Tuż po wyzwoleniu na stacji kolejowej spotyka się dwóch gości, piją razem. Jeden mówi: „Nie mam już pieniędzy na bilet”. Na co drugi: „Nie potrzebujesz płacić za bilet. Ja jestem z UB. Zakuję cię kajdankami i pojedziesz z mną, niby jako więzień”. I tak jadą. Ubek w żartach zaczyna okazywać swą wyższość nad zakutym. Ten się złości. W końcu ubek zasypia. W nocy do pociągu wsiada dwóch z lasu. Pytają zakutego: „Ty polityczny?”. „Tak”. Wyciągają pistolet i zabijają śpiącego ubeka. Uwalniają „więźnia”.

Tylko jak to odbierze cenzura. Scenariusz przeczytała komisja w telewizji, pokiwała głową, że tak. Miała to produkować wytwórnia Czołówka. W komisji siedział Jerzy Bossak. Nie odezwał się, ale gdy wychodziliśmy, poprosił, żebym zadzwonił wieczorem, bo „w tym jest mnóstwo niebezpieczeństw”. Spotkaliśmy się na kawie w Europejskim: wypisał na kartce, w punktach, dlaczego nic z tego nie będzie. Przestraszyłem się. Oddałem „Piąte, nie zabijaj” do Jugosławii. Facet nazywał się Predrag Golubović. Na festiwalu w Oberhausen zobaczyłem dwa jego filmy o wojnie. Najpierw mieliśmy to kręcić razem. Po pół roku zadzwonił: „Robimy z tego pełny metraż”. „To beże mnie”. Film nazywa się „Bombaśi” (1973). Moje nazwisko miga w czołówce.

Z Ryszardem Bugajskim pisałeś pełnometrażowy scenariusz według „Zmór” Emila Zegadłowicza.

– Zadzwoń prof. Jerzy Mierzejewski [malarz, wykładowca w łódzkiej Filmowej]: „Tu jest chłopak, którym warto się zaopiekować. Nie ma z czego żyć. Możesz go zatrudnić jako asystenta?”. „Rysuje?”. „Nie bardzo”. „Animuje?”. „Nie bardzo. Pisze, napisał powieść

MACJI

jednym zdaniem, na 200 stron”. „Niech przyjdzie”.

Bugajski pobierał skromną pensję asystenta. Powiedział, że będzie zdawał do Szkoły Filmowej. Przygotowaliśmy go z Mierzejem. Zdał. Zaprzyżądaliśmy się. Pojechał do Londynu. Dostał się na plan do Hitchcocka, który kręcił „Szal” (1972). Przedstawił się, że jest ze Szkoły w Łodzi. Dostał papiera, że odbył tam praktykę. Gdy wrócił, piliśmy kawę, snując refleksje nad Polską. Bugajski zastanawiał się, czy nie wyjechać.

Nie pamiętam, kto podsunął mi „Zmory”. Spodobały mi się jako powieść inicjacyjna. Stanisław Różewicz z zespołu Tor podpisał umowę na scenariusz ze mną, z Bugajskim i Wojtkiem Marczewskim. Ale ja się wycofałem, zrozumiałem, że nie umiałbym opowiedzieć filmu długości godzina i 15 minut. Po premierze powiedziałem Marczewskiemu: „Wojtek, zrobiłeś świetny film”.

A Bugajski nakręcił w zespole X „Przesłuchanie” (1982), ale film zapólkowano.

A ty miałeś problemy z cenzurą?

– W latach 80. dyrektorem w Se-ma-forze był Bogusław Kuzio. Przychodziło do niego dwóch facetów. Kuzio mówił: „Dla panów kawa czy herbata, brandy Pliska czy Słoneczny Brzeg?” „Pliska”. Siadali, oglądali, potem podpisywali dokumenty. Mówili: „Proszę pana, jak film animowany może zaszkodzić temu systemowi? Co innego dokument”.

Stosunki animacji z Urzędem Kinematografii były bardzo dobre. Panie urzędniczeki powtarzały: „Kochani, z wami kłopotów nie ma. Jesteście grzeczni”. Do UB nie wzywano mnie nigdy.

Na Zachód wyjechałeś, będąc jeszcze w Szkole Filmowej.

– Dostałem nagrodę za „Konflikty”, a Witek Leszczyński za fabularną „Zabawę”. Zobaczyłem na tablicy anons, że Zrzeszenie Studentów Polskich oferuje wyjazdy za granicę, m.in. do Paryża. Wymagane kryteria – wysoki poziom artystyczny i postępy w nauce. Witek z Francji zrezygnował. Ja miałem znajomych w ZSP i do Paryża pojechałem.

Spotkałem tam Zbyszka Cybulskiego, który kręcił z Jakiem Baratierem film „La poupée” (1962). Przesiadaliśmy na bulwarze Saint-Germain, w Les Deux Magots albo w Old Navy. Kiedyś, patrzymy, idzie Andrzej Kurylewicz. Przyjechał z zespołem na festiwal jazzowy. Szukali pracy. Cybula zaproponował: „Pochodzimy po klubach jazzowych, może coś się znajdzie”. Zajrzeli do Le Chat qui pêche, czyli kota rybolowcy, kwartet Kurylewicza, w którym grał perkusista Andrzej Dąbrowski, zaczęli się na dwa tygodnie.

Kiedy poznałeś Cybulskiego?

– Był przegląd teatrów studenckich. Gdy występował nasz STS, za mną i Wickiem Roniszem siedziało dwóch gości – jeden w okularach, drugi z dużym nosem. Ludzie klaskali, a oni nic. Gdy występ się skończył, powiedzieli: „No tak, nie najgorzej”. I poszli. Gdy występował ich Bim-Bom, poznałem Zbyszka i Bogumiłą Kobielę.



• **Daniel Szczepura przy pracy nad filmem „Arena” z 1973 r.**

FOT. BOLESŁAW CIUPIŃSKI / FILMOTEKA NARODOWA

Cybula był kompletnie nieprzygotowany na popularność, jaką przyniósł mu „Popiół i diament” (1958). Ludzie się w nim zakochali. Wszyscy chcieli z nim wypić. A on był koleżeński. Gdy miałem wracać z Paryża, w biurze LOT-u powiedzieli mi, że nie ma miejsc. Zbyszek zadzwonił, że prosi o bilet dla kolegi, i bilet się znalazł.

Wcześniej Cybula powiedział mi: „Jestem zaproszony na kolację, którą wydaje producent Pierre Roustang. Będzie na niej aktorka Juliette Mayniel, znana z filmów Nowej Fali. Usiądź w którejś z kawiarni na bulwarze Saint-Germain. Będę tam z nią przechodził. Przysiadzimy się”. Lepiej od niego mówiłem po francusku. Przyszli, usiedli. Padło pytanie: „Gdzie idziemy?”. Za bulwarem Montparnasse był bar odwiedzany przez amerykańskich żołnierzy, zabraliśmy ją tam. Po dwóch godzinach Zbyszek wziął ją do hotelu. Zbyszek był patriotą: „Wiesz, Juliette nic nie wie o Polsce. Dlatego zaprenumerowałem jej miesięcznik »Polska«”.

Kilka lat później spotkałem ją w Łodzi, gdzie grała w filmie Witka Orzechowskiego „Droga w świetle księżycy” (1972). „Za tę rolę płacą mi grosze. Wiesz, dlaczego tu jestem?”. „Nie”. „Zbyszek przysłał mi miesięcznik o Polsce. I te jego opowieści – cóż to za kraj! Więc przyjechałam sprawdzić”.

Zjeżdżiłeś świat, uczestnicząc w najważniejszych festiwalach animacji – jako uczestnik, często nagradzany, i jako juror.

– Poza Hiroszimą byłem prawie wszędzie. Ważny jest festiwal w Annecy, stworzony w 1960 r. przez Pierre’a Barbina. To był człowiek

wysokiej klasy, wiedział, jak to trzeba prowadzić: w kontrze do Disneya, godząc Wschód z Zachodem. Gdy zaproponował mi członkostwo w jury, uznałem to za zaszczyt. Nie dopuszczali komercyjnych, błahych filmów. Jury składało się z dziewięciu osób, publiczność szybko się wykształciła: jak trzeba było, wygwizdała, jak trzeba było, klaskała. Powstała atmosfera otwartości. Poznałem mnóstwo ludzi, m.in. Rosjanina emigranta Aleksandra Aleksiejewa i jego żonę, Kanadyjkę Claire Parker, która pomagała mu w robieniu filmów. Animowali, używając ekranów z płyty pilśniowej, w które wbijali tysiące szpilek. W jury był też Amerykanin Bill Littlejohn, animator nagrodzonej Oscarem „Dziury” (1962) o dwóch robotnikach w wykopie dyskutujących o groźbie wojny nuklearnej. Świetnie animował, robił nawet reklamy Firestone’a. Miał łatwość rysowania. Poznałem także Iwana Iwanowa-Wanę z Moskwy, zwanego radzieckim Disneyem.

W Annecy wywożono nas pociągiem w Alpy, urządzano pikniki: na hali stały beczki z winem i tace z serami. Gdy tam okrzeplem, zaproponowałem, żeby zrobili retrospektywę Zbyszkowi Rybczyńskiemu i wzięli prof. Jerzego Toeplitza na przewodniczącego jury. Toeplitzem byli zachwyceni, prowadził obrady z esprit, o jakim im się nie śniło.

A inne festiwale?

– W Ottawie elegancja: w dniu otwarcia panie w długich sukniach, panowie w smokingach. Widziałem tam guru światowej animacji – Normana McLarena. Gdy się przychodziło do czytelnicy ambasady kanadyjskiej w Warszawie, to na półce „kultura” stały właściwie tylko książki o nim.

Lukka w Toskanii jest cudowna – tam nie przyznają nagród, są pokazy, wystawy, dyskusje, spotkania z komikami. Festiwal w Zagrzebiu dowodził, że Jugosławia stanowiła awangardę socjalizmu. Stworzył go w 1972 r. Želimir Matko, teoretyk animacji i dobry organizator. Podczas dwóch pierwszych edycji jugosłowiańskie filmy były poza konkursem. „My to robimy dla was” – mówił Matko do gości.

Najważniejszy na festiwalu animacji jest komitet selekcyjny. Byłem w kilku: w Annecy, w Zagrzebiu, w Warszawie. Trzy tworzące go osoby dostają 750 zgłoszonych filmów do obejrzenia w ciągu 10-14 dni. Musieliśmy z tego ułożyć kilka programów i pamiętać, dlaczego wyrzuciliśmy pozostałe filmy, bo ktoś mógł nas o nie zapytać.

Straszna robota, wybuchają kłótnie, ale dobrze płatna. Rocznie na świecie powstaje tylko około 120 dobrych filmów krótkich. Dlatego umawialiśmy się, że jeśli wszyscy trzej po 10 minutach stwierdzamy, że nie ma sensu oglądać dalej, to przerywamy projekcję.

Najdziwniejszy festiwal jest w hiszpańskiej Huesce. „Zna pan nasze hasło przewodnie?” – spytali mnie organizatorzy. „Jeszcze nie”. „To przepiórki w płatkach róży. A zna pan film »Uczta Babette«?”. „Znam, podoba mi się”. „Nam też się podoba, w związku z tym każdy posiłek dla jury jest przygotowany przez innego kucharza z okolicy”. Nie spieszyliśmy się podczas obrad, kucharze w białych strojach tłumaczyli nam, jak co zrobili.

W Międzynarodowym Stowarzyszeniu Twórców Filmu Animowanego (ASIFA) wiele lat byłeś szefem.



– W ASIFA zorientowałem się, jak funkcjonuje towarzystwo międzynarodowe, jak się prowadzi w nim zebrania. Porozumiewałem się w czterech językach – korespondencję dostawałem po francusku, przemaślałem i prowadziłem zebrania po niemiecku, włosku i angielsku.

Jerzy Schönborn z Zarządu Kineematografii mówił mi: „Pamiętaj, że teraz jesteś międzynarodowy. Do MSZ będą cię wzywać. Będziesz jeździł do Berlina na spotkania krajów demokracji ludowej. Będziecie ustalać wspólną politykę w ASIFA”. Pojechałem. Hotel Stadt Berlin na Alexanderplatz. Już drugiego dnia padło moje nazwisko. Jakaś pani powiedziała w referacie, że gdy Szczuchury nie było na zebraniu ASIFA, to swoje *procuration* dał koleżance z Francji. Nie odpowiedziałem tej pani. A bo to ja ją znam? Żadnej rozmowy w ministerstwie o ASIFA nie miałem. Ale wycofałem się z jeżdżenia do Berlina.

Ludzie w ASIFA mnie lubili. W następnych wyborach byłem pod względem liczby głosów w pierwszej dziesiątce. Gdy u nas zdławiono „Solidarność”, wybrano mnie na wiceprezenta ASIFA. Znalazłem się w komisji festiwalowej, obradowaliśmy cztery, pięć razy w roku na różnych festiwalach.

W 1974 r. twój film został częścią projektu zainicjowanego przez Włochów.

– Zadzwoniono z Filmu Polskiego: „Włosi szukają z panem kontaktu, z panem Kijowiczem i z panem Czekalą”. Rzymska firma producencka Societa Corona realizowała serię filmów „Bajki europejskie”. Każdy kraj daje lokalną bajkę, Włosi wybrali nas trzech. Mieliśmy absolutną wolność.

W Rzymie Enzo Gagliardo, prezes Societa Corona, pyta mnie: „Co będziesz robił?”. „U nas jest bajka o królu Popielu. Nazywa się »Mysia wieża« – Torre del topi”. „O co w niej chodzi?”. „O to, że króla zjadły myszy”. „Dlaczego go zjadły?”. „Bo był skąpy – avaro”. Gagliardo przegląda książkę z bajkami Europy: „Bene, nie ma nigdzie takiej bajki, żeby króla myszy zjadły”.

Pyta Kijowicza, a ten mówi, że zrobi o Krakowie: z wieży mariackiej jest grany hejnał, ale trębacz zostaje trafiony strzałą tatarską. „Bene, Cracovia, biorę to”. Czekala trzy razy podchodził z pomysłami, wszystkie zostały odrzucone. Zamiast niego zaproponowałem swojego asystenta Stanisława Lenartowicza, zrobił „Jak Stolem gasił gwiazdy”.

Jak się pracowało w międzynarodowym gronie?

– W naszym hotelu mieszkały ekipy z różnych krajów, w tym z NRD. Z Lenartowiczem poszliśmy w niedzielę na plac św. Piotra zobaczyć papieża. Wieczorem energowcy spytali, cośmy robili. Powiedzieliśmy, że oglądaliśmy papieża. Spojrzeli po sobie. Ja specjalnie pociągnąłem temat: „A wy nie byliście? Jak to, być w Rzymie i nie widzieć papieża?”. Wtedy tylko my dwaj padliśmy na kolana, gdy papież się pokazał. Amerykanie mu kiwali:



„Hey, Pope, How Are You?”. Dziwili się, że on im nie kiwa.

Z Gagliardem chciałem zrobić jeszcze film na podstawie książki Dina Buzzatiiego „Poemat w obrazkach” (1969). To rodzaj komiksu o piosenkarzu Orfi, który schodzi do piekła za swą ukochaną Eurą Storm, chcąc sprowadzić ją na Ziemię. Marysia Kornatowska przetłumaczyła mi zawarte w książce piosenki. Powiedziała jednak, że lepiej powinna to zrobić Agnieszka Osiecka. Pokazałem Agnieszce Buzzatiiego, pomysł jej się spodobał.

Gagliardo chciał tego filmu, ale mówił, że będzie drogi. I że w zbieraniu pieniędzy trochę przeszkadza mu to, że nie jestem Włochem. „Poemat w obrazkach” dzieje się w Mediolanie. „Nie byłem nigdy w Mediolanie” – przyznałem. Odpowiedział: „Mam tam studio, w Torre Velasca. Dam ci do niego klucze. Jedź, pochodź po mieście”. Ostatecznie jednak projekt upadł.

Od 1970 r. na Wydziale Grafiki warszawskiej ASP prowadziłeś Pracownię Filmu Animowanego.

– Było miło. Jeśli ktoś przeszkadzał, to partia w ASP. Mieliśmy doroczne wystawy. Przyjeżdżał minister. Przed otwarciem po pracowniach chodził dziekan – Maciej Urbaniec, świetny plakacista – oglądał, co wisi na ścianach. Był plakat z damą z lasiczką, która zamiast lasiczki trzymała fiata 126p. Usłyszałem: „Nie wiem, czy to przejdzie”. Na wystawie, patrzę, nie ma tego plakatu. Mówię: „Maciek, do kurwy nędzy, jak możesz godzić się na takie numery?”.

Kiedyś ja przedstawiałem swoją pracownię – byli minister, rektor Julian

Palka. Puściłem ćwiczenie Joanny Żamojdo, mojej ukochanej studentki: stoi robotnik w kufajce, pali papierosa, stuka nogą, w pewnym momencie wyciąga zza pazuchy pół litra wódki, wypija i butelkę stawia sobie na głowie. Po chwili wyciąga drugą półlitrowkę, wypija i stawia sobie na ramieniu, potem wypija trzecią, którą stawia na wyciągniętej ręce, tu gdzie nosi się zegarek. Potem wyciąga planszę z hasłem „Polak potrafi”. Zamiast uśmiechów i braw miny marsowe. Puściłem następne ćwiczenie – ze wspólnym początkiem, który każdy student puentował po swojemu. Jest zakonnik, podlewa kwiatek, kwiatek rośnie i wyskakuje z niego diabełek. W jednym z rozwinięć przez trzy, cztery minuty ganiano za diabełkiem. Znow miny niefajne. Minister do mnie: „Dziękuję panu”. Za dwa dni w gabinecie Palka mówi: „Wiesz, że to nie było po linii partii. Może ciebie to nie interesuje, bo nie jesteś partyjny. Ale ogólnie nie jest dobrze. Za dużo klerikalizmu, a z tym robotnikiem – nabijasz się z naszego hasła”. Odpowiedziałem: „To jest młódziez, jeśli mają jakieś pomysły na sercu, nie mogę im zabronić. Byliście kiedyś na FAM-ie w Świnoujściu?”. „Nie”. „A ja byłem – tu skłamałem – popatrzcie, jakie tam są odważne kabarety, jakie spektakle, i to nikomu nie przeszkadza. Młódziez musi się gdzieś wyszumić. Nie róbcie z ASP klasztoru”.

Lata później wyrzucili mnie z Akademii. Rada wydziału stwierdziła, że nie nadaję się na profesora.

Oszaleli?

– Było tak: na Słowackiego spotkałem malarza Janusza Przybylskiego

• **Kadr z pełnometrażowego filmu „Hobby. Daniel Szczuchura” (2002), w którym reżyser podsumował własną twórczość. Połączył w nim swoje wcześniejsze filmy ze współczesnymi „dokrętkami”**

FOT. BOLESŁAW CIUPIŃSKI / FILMOTEKA NARODOWA

z Wydziału Grafiki. Spacerował z żoną. Zapytałem: „Co było na radzie wydziału?”. Spytał żonę: „Powiedzieć mu?”. „Powiedz”. „Wyrzucili cię z pracy”. „Jak to?”. „Była ogólna ocena twojej pracowni. Stwierdzono, że przychodzi do niej mało ludzi. Ciebie ciągle nie ma. Korekty robisz w pociągu z Łodzi do Warszawy”. Odbłyło się głosowanie: 12 głosów za wyrzuceniem, cztery przeciw, cztery wstrzymujące się – czy coś takiego.

Nie pokazywałem się w sekretariacie. Przyszedł polecony: „Zwalniam Pana z dniem takim i takim”. Poszedłem do niego: „Dostałem pański list. Nie przyszło panu do głowy, żeby do mnie zadzwonić?”.

Na Krakowskim Przedmieściu spotkałem Jasia Sosnowskiego z Ministerstwa Kultury. Szedł z kolegami strzelić sobie łufę. Oni prowadzili Radę Szkolnictwa Artystycznego. Jasio powiedział: „Nie mają prawa cię zwolnić. Jesteś profesor, wprawdzie nadzwyczajny, ale ciebie może zwolnić tylko minister. A on cię nie zwolni. Jeszcze Rada Szkolnictwa Artystycznego musiałaby to zaakceptować”.

Potem usłyszałem od rektora: „Dzwonili z ministerstwa, że nie mam prawa pana zwolnić”. Sekretarka powiedziała mi, że na radzie wydziału stanęła moja sprawa. Zadzwoń do dziekana Urbańca, który bronił mnie przed wywalaniem. Dałem mu list do rady. Zapytałem, jak można zwalniać nieobecnych. I że były wobec mnie zarzuty kwalifikujące się do procesu o zniesławienie. Tylko ze względu na podeszły wiek panów, którzy je stawiali, postanowiłem go nie wszczynać. Przyszli mnie przeproszać. Wróciłem. ●

Rozmawiał Jacek Szerba

Za tydzień

Głowa komtura Markwarda

Dlaczego wielki książę Litwy Witold tuż po bitwie pod Grunwaldem kazał stracić jednego z najznamienitszych rycerzy zakonu krzyżackiego, komtura Pokarmina Markwarda von xSalzbacha? Znali się od lat, Salzbach uczestniczył m.in. w 1399 r. w wyprawie Witolda przeciw Tatarom. Być może powodem były obraźliwe słowa, jakie wypowiedział o matce księcia. Inna hipoteza mówi, że komtur mógł wiedzieć o Witoldzie coś, co skompromitowałoby go w oczach Jagielly.

ALEHISTORIA

Redagują: Mirosław Maciorowski (redaktor naczelny), Igor Rakowski-Kłos
Zespół: Piotr Nehring, Włodzimierz Kalicki, Beata Maciejewska, Paweł Smoleński, Bartosz T. Wieliński, Józef Krzyk
Fotoedycja: Dominik Gajda; korekta: Paulina Kluk; grafik prowadzący: Maryla Ewicz
Adres redakcji: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 66 00;
e-mail: alehistoria@wyborcza.pl; internet: wyborcza.pl/alehistoria.

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich skracania i redagowania. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.



Sprawdź prenumeratę cyfrową „Gazety Wyborczej”:
wyborcza.pl/prenumeratacyfrowa